

Wybitna... trzymająca w napięciu... spektakularna

LEE CHILD

Steve Cavanagh

TRZYNAŚC13

Ten seryjny morderca
nie jest sądzony

TO ON JEST SĘDZIĄ

ALBATROS

PROLOG

Dziesięć po piątej w zimne grudniowe popołudnie Joshua Kane leżał na kartonowym posłaniu przed budynkiem Sądu Kryminalnego na Manhattanie i myślał o zabiciu człowieka. Nie jakiegoś przypadkowego człowieka. Chodziło o konkretną osobę. Owszem, czasami zdarzało mu się, czy to w metrze, czy kiedy obserwował przechodniów, myśleć o zamordowaniu jakiegoś bezimiennego, nieznanego mu nowojorczyka, na którym zatrzymał akurat wzrok. Mogła to być ta jasnowłosa sekretarka czytająca romans w pociągu linii K, bankier z Wall Street wymachujący parasolem, którzy ignorowali jego prośby o drobne, a nawet dziecko trzymające matkę za rękę.

Co by czuł, zabijając ich? Jakie słowa wypowiedzieliby, wydając ostatnie tchnienie? Czy ich oczy zmieniłyby się w chwili, gdy opuszczaliby ten świat? Kane, snując te rozważania, poczuł, jak ogarnia go przyjemna fala ciepła.

Spojrzał na zegarek.

Jedenaście po piątej.

Dzień przechodził w zmierzch, ulica wypełniła się wysokimi, ostrymi cieniami. Kane spojrzał na niebo, zadowolony, że światło stopniowo przygasa, jakby ktoś przykrył lampę woalem. Ten półmrok sprzyjał jego zamiarom. Ciemniejące niebo skrywało jego myśli o zabójstwie.

Od sześciu tygodni, odkąd leżał na ulicy, nie myślał prawie

o niczym innym. Całymi godzinami zastanawiał się, czy ten człowiek powinien umrzeć. Prócz kwestii jego życia i śmierci wszystko inne zostało starannie zaplanowane.

Kane nie lubił ryzykować. Nakazywał mu to rozsądek. Jeśli nie chcesz, by cię schwytano, musisz być ostrożny. Nauczył się tego dawno temu. Pozostawiając tego człowieka przy życiu, podejmował ryzyko. Bo jeśli gdzieś w przyszłości ich drogi się skrzyżują? Czy rozpoznałby Kane'a? Czy zdołałby domyślić się całej prawdy?

A jeśli Kane go zabije? Takie rozwiązanie zawsze niosło ze sobą różne zagrożenia.

Znał je jednak dobrze – już tyle razy z powodzeniem ich unikał.

Naprzeciwko niego zatrzymała się przy krawężniku furgonetka pocztowa, z której wysiadł kierowca, przysadzisty mężczyzna pod pięćdziesiątkę, w uniformie. Punktualny jak szwajcarski zegarek. Minął obojętnie Kane'a, wchodząc do budynku. Nie miał żadnych drobnych dla bezdomnego. Nie dziś. Ani przez ostatnie sześć tygodni. Nigdy. I codziennie o tej samej porze, kiedy pracownik poczty przechodził do budynku, Kane zastanawiał się, czy powinien go zabić.

Miał dwanaście minut na podjęcie decyzji.

Mężczyzna nazywał się Elton. Miał żonę i dwoje nastoletnich dzieci. Raz w tygodniu jadł w drogim, modnym barze, choć mówił żonie, że wychodzi pobiegać; czytał powieści, które kupował za dolara w małym sklepiku w TriBeCe, i kiedy w czwartki wnosił śmieci, na stopach miał puchate kapcie. Co czułby Kane, patrząc na jego śmierć?

Lubił przyglądać się ludziom przeżywającym różne emocje. Doznania takie jak smutek, rozpacz i strach były dla niego równie upajające i radosne jak najlepsze narkotyki na świecie.

Joshua Kane nie przypominał innych ludzi. Nie było nikogo takiego jak on.

Spojrzał na zegarek. Piąta dwadzieścia.

Czas przystąpić do działania.

Podrapał się po brodzie, która zakrywała teraz większość jego twarzy. Zastanawiając się, czy brud i pot zmieniły kolor zarostu, wstał powoli z kartonu i przeciągnął się. Poczuł, że śmierdzi. Od sześciu tygodni nie mył się, nie zmieniał bielizny ani skarpetek. Od smrodu zrobiło mu się niedobrze.

Potrzebował czegoś, co pomogłoby mu odwrócić od niego uwagę. U jego stóp leżała lekko zapleśniała, odwrócona dnem do dołu czapka z daszkiem, a w niej kilka dolarów w drobnych.

Odczuwał satysfakcję, widząc, że misja zmierza do zaplanowanego zakończenia. Że jego wizja spełnia się właśnie tak, jak to sobie wyobrażał. Mimo to pomyślał, że warto choćby dla dodatkowego dreszczyku emocji wprowadzić element przypadku. Elton nigdy by się nie dowiedział, że o jego losie zdecydował w tej chwili nie on, lecz rzut monetą. Kane wybrał ćwierćdolarówkę, wyrzucił ją w górę, złapał i położył na wierzchu dłoni. Gdy moneta wciąż obracała się w jego oddechu, postanowił, że orzeł będzie oznaczał śmierć Eltona.

Spojrzał na ćwierćdolarówkę, nową i lśniącą na tle jego brudnej skóry, i uśmiechnął się.

Trzy metry od furgonetki pocztowej stała budka z hot dogami. Sprzedawca obsługiwał właśnie wysokiego mężczyznę bez płaszcza. Ten drugi pewnie wyszedł właśnie za kaucją i świętował, pozwalając sobie na prawdziwe jedzenie. Sprzedawca wziął od niego dwa dolary i wskazał na ogłoszenie w dolnej części budki. Obok zdjęć grillowanych kiełbasek znajdowały się reklama kancelarii adwokackiej i numer telefonu.

ZOSTAŁEŚ WŁAŚNIE ARESZTOWANY? OSKARŻONY?
ZADZWOŃ DO EDDIEGO FLYNNA.

Wysoki mężczyzna wgrzył się w bułkę, skinął głową i odszedł w tym samym momencie, w którym Elton wyszedł z sądu, niosąc trzy szare jutowe worki z korespondencją.

Trzy worki. To przesądzało sprawę. Nadszedł ten dzień.

Zwykle Elton wynosił dwa worki, a czasami tylko jeden. Raz na sześć tygodni przynosił jednak trzy pakunki. Właśnie na ten trzeci, dodatkowy, czekał Kane.

Elton zdążył tylko otworzyć drzwi furgonetki i wrzucić do środka pierwszy worek, kiedy Kane ruszył powoli w jego stronę, wyciągając przed siebie rękę.

Drugi worek powędrował śladem pierwszego.

Gdy poczciarz złapał za trzeci pakunek, Kane znalazł się przy nim.

– Hej, stary, masz jakieś drobniaki na zbyciu?

– Nie – odrzekł krótko Elton i wrzucił ostatni worek do samochodu. Zamknął prawe skrzydło drzwi, a potem złapał za lewe i zatrasnął je z taką siłą, jakby wyrządziły mu jakąś krzywdę. Kane wiedział, że teraz wszystko zależy od właściwego wyczucia czasu. Wyciągnął rękę jeszcze dalej do przodu, błagając choćby o kilka monet. Drzwi pociągnęły za sobą jego ramię i zamknęły się na ręce.

Kane wybrał właściwy moment. Słyszał, jak metalowe krawędzie przecinają skórę i miażdżą kośćcinę. Chwyciwszy się za zranione ramię, krzyknął przeraźliwie i opadł na kolana, obserwując, jak zszokowany Elton łapie się obiema rękami za głowę i otwiera usta. Biorąc pod uwagę siłę, z jaką zamknął drzwi, i ich wagę, Kane powinien mieć połamaną rękę. I to paskudnie. W wielu miejscach. Rozległy uraz.

Ale Kane był wyjątkowy. Mama zawsze mu to powtarzała. Krzyknął ponownie. Uważał, że powinien należycie odegrać tę scenkę i udawać, że naprawdę ogromnie cierpi.

– Jezu, uważaj na ręce, nie wiedziałem, że tam sięgałeś...

– usprawiedliwiał się Elton. – Mogłeś... Przepraszam... –

Uklęknął obok Kane'a i przeprosił go ponownie.

– Chyba jest złamana – powiedział Kane, choć dobrze wiedział, że tak nie jest. Dziesięć lat wcześniej większość kości została wymieniona na stalowe płytki, pręty i śruby. Resztki kośćca osłonięto i wzmocniono.

– Cholera, cholera, cholera... – powtarzał Elton, rozglądając się. Najwyraźniej nie wiedział, co właściwie powinien zrobić.
– To nie była moja wina, ale mogę wezwać karetkę.

– Nie. Nie będą chcieli mnie leczyć. Zabiorą mnie do szpitala, zostawią na noszach na całą noc, a potem pogonią. Nie mam ubezpieczenia. Jest tu taka przychodnia. Jakies dziesięć przecznic stąd, nie więcej. Leczą w niej bezdomnych. Zawieź mnie tam – poprosił Kane.

– Nie mogę cię zawieźć.

– Co?!

– Nie wolno mi zabierać pasażerów do furgonetki. Gdyby ktoś zobaczył cię w kabinie, mógłbym stracić pracę.

Kane odetchnął w duchu z ulgą. Liczył na to, że Elton będzie się starał trzymać przepisów ustanowionych przez pracodawcę.

– Schowam się w środku – rzucił. – Nikt mnie wtedy nie zobaczy.

Elton spojrzał na otwarte drzwi furgonetki.

– No nie wiem...

– Niczego nie ukradnę, przecież nie mogę ruszać ręką, do cholery – jęknął Kane, trzymając się za ramię.

– No dobrze – ustąpił Elton po chwili wahania. – Ale nie zbliżaj się do worków z pocztą. Jasne?

– Jasne.

Kane jęczał głośno, gdy Elton podnosił go z drogi, i krzyknął, bo wydawało mu się, że dłoń mężczyzny za bardzo zbliżyła się do jego zranionej ręki, ale już chwilę później siedział na stalowej podłodze z tyłu furgonetki i wydawał z siebie takie

odgłosy, jakimi powinien reagować na kołysanie samochodu. Część bagażowa była oddzielona od szoferki, więc Elton nie widział go i prawdopodobnie też nie słyszał, ale Kane uznał, że na wszelki wypadek warto trochę pojęzczyć. W furgonetcie było ciemno, tylko przez niewielki, kopulasty właz na dachu wpadało trochę dogasającego światła dnia.

Gdy tylko odjechali spod sądu, wyjął z kieszeni płaszcza nóż do tapet i przeciął plastikowe mocowania zamykające trzy worki z korespondencją.

Pierwszy nie zawierał nic ciekawego. Zwykłe koperty. Podobnie jak drugi.

W trzecim krył się prawdziwy skarb.

Koperty zamknięte w tym pakunku wyglądały inaczej niż poprzednie i wszystkie były identyczne. Na każdej z nich, w dolnej części, znajdował się wydrukowany czerwony pasek, a na nim białe litery tworzące napis: PROSZĘ NATYCHMIAST OTWORZYĆ TEN LIST. ZAWIERA WAŻNE WEZWANIE SĄDOWE.

Kane nie otworzył żadnej z kopert, lecz ułożył je na podłodze. Następnie wybrał wszystkie zaadresowane do kobiet i schował je z powrotem do worka. Pół minuty później na podłodze zostało sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt. Fotografował je po pięć jednocześnie, korzystając z aparatu cyfrowego, który ukrył w ubraniu. Potem będzie mógł powiększyć zdjęcia, by odczytać nazwiska i adresy.

Kiedy skończył, włożył wszystkie listy do worka, a ten razem z pozostałymi dwoma zawiązał mocowaniami, które przyniósł ze sobą. Bez trudu znalazł w sklepie plastikowe paski tej samej marki, której używano w sądzie i na poczcie.

Zostało mu jeszcze trochę czasu, więc rozsiadł się wygodniej na podłodze i przejrzał zdjęcia kopert w aparacie.

Wiedział, że gdzieś wśród nich znajdzie właściwą osobę. Czuł to. Serce zabiło mu mocniej z podniecenia. Miał wrażenie,

że w takich chwilach jego ciało przenika prąd elektryczny, który sięga od stóp do samego serca.

Przywykły do dłuższych przystanków i korków Manhattanu, Kane dopiero po chwili zorientował się, że furgonetka dojechała na miejsce i zaparkowała. Schował aparat. Gdy otworzyły się tylne drzwi, złapał się za ramię i skrzywił w grymasie bólu. Elton pochylił się do wnętrza furgonetki i podał mu rękę. Kane chwycił jego wyciągniętą dłoń i wstał. Mógłby to zrobić teraz – szybko i sprawnie. Wystarczyłoby zaprzeć się stopami o podłogę i pociągnąć. Odrobina wysiłku i facet znalazłby się we wnętrzu samochodu. Ostrze noża wbiłoby mu się gładko w kark, a potem przesunęło do przodu, przecinając tętnicę szyjną.

Elton troskliwie pomógł Kane'owi wysiąść z furgonetki i zaprowadził go do przychodni.

Moneta wypadła reszką do góry. Miał zachować życie.

Kane podziękował swojemu wybawcy i odprowadził go spojrzeniem. Kilka minut później wyszedł z przychodni i sprawdził, czy tamten nie wrócił, by się upewnić, że nic mu nie jest.

Furgonetka zniknęła na dobre.

Wieczorem tego dnia Elton, ubrany w strój do biegania, opuścił swój ulubiony bar z niedojedzoną kanapką Ruben pod jedną pachą i papierową torbą z zakupami pod drugą. Zastąpił mu drogę wysoki, starannie wygolony i elegancki mężczyzna. Elton musiał przystanąć w ciemności, pod rozbitą latarnią.

Joshua Kane sycił się rześkim powietrzem wieczoru i dotykem dobrego garnituru na czystej skórze.

– Rzuciłem monetą jeszcze raz – oznajmił.

Strzelił Eltonowi w twarz, po czym odszedł szybko w ciemną alejkę i zniknął. Takie szybkie, proste egzekucje nie

sprawiły mu żadnej przyjemności. Najchętniej poświęciłby temu człowiekowi kilka dni, ale nie miał na to czasu.

Czekało go mnóstwo pracy.

Sześć tygodni później

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na ławach sali rozpraw za moimi plecami nie siedzieli żadni dziennikarze. Na widowni nie było ani jednego gapia. Żadnych zatroskanych członków rodziny. Tylko ja, mój klient, prokurator, sędzia, stenotypistka oraz woźny. Aha, i jeszcze pracownik ochrony, który zaszył się w rogu i ukradkiem oglądał mecz Yankeesów na smartfonie.

Byłem przy 100 Center Street, w budynku Sądu Kryminalnego Manhattanu, w małej sali na siódmym piętrze.

Nie towarzyszył nam nikt inny, bo ta sprawa nikogo nie obchodziła. Właściwie nie obchodziła też prokuratora, a sędzia stracił zainteresowanie, gdy tylko odczytał oskarżenie: posiadanie narkotyków i innych związanych z nimi akcesoriów. Oskarżycielem był niejaki Norman Folkes, który przepracował w biurze prokuratora okręgowego całe życie. Zostało mu do emerytury jeszcze pół roku, co było widać. Nie zapiał ostatniego guzika koszuli, jego garnitur sprawiał takie wrażenie, jakby go kupił za prezydentury Reagana, a dwudniowy zarost na jego twarzy wyglądał na jedyną czystą rzecz, jaką miał na sobie.

Twarz sędziego Clevelanda Parksa, przewodniczącego posiedzeniu, przypominała balon, z którego uszło powietrze. Oparł głowę na dłoni i pochylił się nad stołem.

– Jak długo musimy jeszcze czekać, panie Folkes? – spytał.

Norm spojrzął na zegarek, wzruszył ramionami i odparł:

– Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie, powinien tu być lada moment.

Stenotypistka zaszeleściła papierami, po czym salę znów wypełniła cisza.

– Pozwolę sobie zauważyć, panie Folkes, że jest pan bardzo doświadczonym prokuratorem i zapewne wie pan, że nic nie irytuje mnie bardziej niż spóźnienia – odezwał się sędzia.

Prokurator skinął głową. Przeprosił ponownie i poprawił kołnierz koszuli. Obwisłe policzki sędziego Parksa zmieniały kolor. Im dłużej musiał tam siedzieć, tym bardziej jego twarz czerwieniała, lecz były to właściwie jedyne oznaki ożywienia, jakich można się było po nim spodziewać. Nigdy nie podnosił głosu ani nie groził palcem – po prostu siedział i w milczeniu gotował się ze złości. Wszyscy dobrze wiedzieli, jak nie lubi spóźniałskich.

Moja klientka, pięćdziesięcioletnia była dziwka, Jean Marie, pochyliła się do mnie i wyszeptwała:

– Co będzie, jeśli ten gliniarz się nie pojawi, Eddie?

– Pojawi się – zapewniłem ją.

Wiedziałem, że przyjdzie. Ale wiedziałem też, że się spóźni. Zadbalem o to.

Mój plan mógł się powieść tylko z Normem w roli prokuratora. Złożyłem wniosek o odrzucenie oskarżenia dwa dni temu, tuż przed piątą, gdy pracownik ustalający wokandę poszedł już do domu. Dzięki latom praktyki potrafiłem ocenić, w jakim czasie biuro przeanalizuje dokument i wyznaczy datę posiedzenia. Ze względu na kolejkę spraw z pewnością nie mogłoby się odbyć wcześniej niż dzisiaj, a znalezienie wolnej sali jak zawsze stanowiło problem. Wnioski rozpatruje się zwykle po południu, około czternastej, ale dopiero kilka godzin wcześniej oskarżenie i obrona mogły się dowiedzieć, gdzie odbędzie się posiedzenie. Ale i tak nie miało to większego znaczenia. Zarówno Norm, jak i ja mieliśmy

wcześniej inne sprawy. Zgodnie ze zwyczajem wystarczyło poprosić sekretarza sądu w sali, w której akurat pracowaliśmy, by sprawdził na komputerze, gdzie będą rozpatrywane nasze późniejsze sprawy. Uzyskawszy taką informację, każdy inny prokurator sięgnąłby po komórkę i zadzwonił do swojego świadka, by podać mu numer sali. Ale nie Norm. Nie używał komórek. Nie ufał im. Uważał, że emitują szkodliwe fale radiowe. Znalazłem Normę przed południem i powiedziałem mu, gdzie odbędzie się to posiedzenie. Założył, że jego świadek zrobi dokładnie to samo, co zrobiłby on, gdybym nie podał mu numeru sali. Musiałby sprawdzić numer sali na tablicy we wnętrzu budynku.

Tablica znajduje się w pokoju numer tysiąc, czyli w sekretariacie, gdzie zawsze są kolejki ludzi wpłacających grzywny. Można na niej zobaczyć listy procesów i posiedzeń sądu odbywających się danego dnia. Tablica ma podpowiadać świadkom, policjantom, prokuratorom, studentom prawa, turystom i prawnikom, gdzie się co dzieje. Na godzinę przed naszym posiedzeniem wybrałem się do pokoju 1000, zasłoniłem sobą tablicę, odszukałem właściwą pozycję, stałem numer sali i wpisałem nowy. Drobną sztuczka. Niepodobna do tych długich, ryzykownych operacji, które przeprowadzałem przez dziesięć lat jako oszust. Odkąd jednak zostałem prawnikiem, czasami pozwalałem sobie skorzystać z dobrze mi znanych sposobów.

Biorąc pod uwagę, jak długo trzeba czekać na windy w tym budynku, byłem pewien, że mój mały podstęp opóźni świadka Normę o co najmniej dziesięć minut.

Detektyw Mike Granger wszedł do sali dwadzieścia minut po czasie. Nie odwróciłem się, słysząc skrzypienie otwieranych drzwi. Wsłuchiwałem się tylko w kroki Grangera, który przestawiał nogi niemal równie szybko, jak sędzia Parks bębnił palcami w blat biurka. Potem usłyszałem jednak jeszcze inne kroki – i tym razem odwróciłem głowę.

Za Grangerem do sali wszedł mężczyzna w średnim wieku, w drogim garniturze, i usiadł na jednej z ostatnich ławek. Miał wystylizowaną jasną fryzurę, rząd białych zębów jak z reklamy i bladą cerę typową dla człowieka, który większość czasu spędza w zamkniętych pomieszczeniach. Rudy Carp był jednym z tych prawników, których pokazują w wiadomościach, bo prowadzą skomplikowane sprawy, pojawiają się na okrągło na kanale Court TV i trafiają na okładki czasopism, a przy tym dysponują umiejętnościami, które to wszystko usprawiedliwiają. Oficjalny prawnik gwiazd.

Nigdy nie poznałem go osobiście. Nie obracaliśmy się w tych samych kręgach towarzyskich. Rudy dwa razy w roku jadł kolację w Białym Domu. Sędzia Harry Ford i ja piliśmy tanią whisky raz w miesiącu. Był taki czas, że zdarzało mi się popłynąć. Ale to się skończyło. Teraz już do tego nie dopuszczam. Raz w miesiącu. Nie więcej niż dwa drinki. Miałem to pod kontrolą.

Carp pomachał w moją stronę. Odwróciłem się i zobaczyłem, że sędzia wpatruje się w detektywa Grangera. Kiedy spojrzałem ponownie na Carpa, ten znów pomachał. Dopiero wtedy zrozumiałem, że kieruje ten gest do mnie. Odmachałem mu, odwróciłem się i próbowałem ponownie się skupić. Nie miałem zielonego pojęcia, co ten facet robił w moim sądzie.

– Miło, że zechciał pan do nas dołączyć, detektywie – powiedział sędzia Parks.

Mike Granger wyglądał w każdym calu na doświadczonego nowojorskiego gliniarza. Poruszał się dumnym krokiem, odpiął broń, wyjął z ust gumę do żucia, przykleił ją do kabury i dopiero wtedy zostawił pistolet pod stołem oskarżenia. Do sądu nie wolno było wnosić broni. Policjanci teoretycznie mieli zostawiać pistolety na stanowisku ochrony. Pracownicy sądu zwykle przymykali na to oko i pozwalali im zabierać broń na salę, ale doświadczeni gliniarze wiedzieli, że nie

powinni kłaść gnatów na stanowisku dla świadków.

Granger próbował wytłumaczyć, dlaczego się spóźnił. Sędzia Parks uciszył go, kręcąc głową. Później będzie na to czas.

Usłyszałem, jak Jean Marie ciężko wzdycha. U nasady jej rozjaśnionych włosów pojawiły się już czarne odrosty, jej dłonie drżała, gdy podniosła ją do ust.

– Nie martw się, mówiłem ci już, że nie wrócisz do więzienia – uspokoilem ją.

Specjalnie do sądu włożyła nowy czarny kostium ze spodniami. Dobrze w nim wyglądała – i czuła się dzięki temu nieco pewniej.

Kiedy ja próbowałem pocieszać Jean Marie, Norm przystąpił do działania – wezwał Grangera na miejsce dla świadków. Policjant został zaprzysiężony, a potem Norm zaczął go wypytywać o szczegóły zatrzymania Jean Marie.

Granger miał tamtego wieczoru skrzyżowanie Trzydziestej Siódmej Ulicy i Lexington, gdy zobaczył ją stojącą przed salonem masażu, z torbą w ręce. Wiedział, że była już notowana, więc zatrzymał auto, podszedł do niej, przedstawił się i pokazał odznakę. Zeznał, że w tym momencie zobaczył „akcesorium związane z narkotykami” wystające z papierowej torby Jean Marie.

– Co to było za akcesorium? – spytał Norm.

– Słomka do picia. Narkomani używają jej do wciągania narkotyków do nosa. Widziałem wyraźnie, jak wystawała ponad brzegiem torby.

Sędzia Parks nie był zaskoczony, ale tak czy inaczej przewrócił oczami. Choć może trudno w to uwierzyć, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy co najmniej kilku młodych Afroamerykanów zostało aresztowanych za posiadanie akcesoriów narkotykowych, bo policjanci zauważyli, że mieli przy sobie słomki do picia, zwykle zresztą włożone do kubków z napojami.

– I co pan wtedy zrobił?

– Kiedy widzę przy kimś akcesoria narkotykowe, od razu nabieram podejrzeń. Ta pani była już zatrzymywana za tego rodzaju sprawy, więc przeszukałem jej torbę i znalazłem w środku narkotyki. Pięć małych woreczków z marihuaną na dnie torby. No i aresztowałem ją.

Wyglądało na to, że Jean trafi do więzienia. Drugie przestępstwo związane z narkotykami w ciągu roku. Tym razem nie mogła liczyć na zwolnienie warunkowe. Musiała się liczyć z wyrokiem dwóch do trzech lat. Przypomniałem sobie, że właściwie odsiedziała już część tego okresu. Po aresztowaniu spędziła w więzieniu trzy tygodnie, nim udało mi się załatwić jej kaucję.

Oczywiście wcześniej wypytałem ją o to zatrzymanie. Powiedziała mi prawdę. Zawsze mówiła mi prawdę. Detektyw Granger podjechał do niej i zaczepił ją, licząc na jakiś mały numerek na tylnym siedzeniu radiowozu. Jean odparła, że już tego nie robi. Granger wysiadł więc z auta, chwycił jej torbę, a kiedy zobaczył w środku trawę, zmienił ton: zażądał, by oddawała mu piętnaście procent z tego, co zarobi, albo od razu ją zgarnie.

Wyjaśniła mu, że płaci już dwóm policjantom z siedemnastego komisariatu po dziesięć procent i wygląda na to, że jednak nie robią niczego w zamian. Ci gliniarze znali ją i chętnie przymykali oko na jej proceder. Pomimo swej przeszłości Jean była patriotką. Sprzedawała marihuanę wyprodukowaną wyłącznie w Stanach Zjednoczonych i dostarczaną prosto z licencjonowanych farm w Waszyngtonie. Większość jej klientów stanowili starsi ludzie, którzy uśmierzali narkotykiem ból wywołany artretyzmem lub jaskrą. Nigdy nie sprawiali problemów jej ani władzom. Kazała Grangerowi spadać, więc zgarnął ją i wymyślił tę historyjkę.

Oczywiście nie byłem w stanie udowodnić tego w sądzie. Nie zamierzałem nawet próbować.

Kiedy Norm usiadł, wstałem, odchrząknąłem i poprawiłem krawat. Rozstawiłem nieco nogi, upiłem łyk wody i rozluźniłem ramiona. Wyglądało to tak, jakbym zamierzał się wygodnie ustawić i przepytawać Grangera przez co najmniej dwie godziny. Wyjąłem kartkę z pliku leżącego na moim biurku i zadałem pierwsze pytanie.

– Detektywie, zeznał pan, że oskarżona trzymała torbę na zakupy w prawej ręce. Wiemy, że to duża papierowa torba, którą trudno utrzymać w jednej dłoni. Zakładam, że trzymała ją za uchwyty przymocowane do górnego brzegu?

Granger spojrzał na mnie jak na kogoś, kto marnuje jego cenny czas na banalne, głupie pytania. Skinął głową i uśmiechnął się kącikiem ust.

– Tak, trzymała torbę za uchwyty, widziałem to wyraźnie – odparł. Potem spojrzał z pewnością siebie na stół prokuratora, dając mu znać, że jest na to przygotowany. Domyślałem się, że przygotowując się do tego posiedzenia, Norm i Granger omówili dokładnie kwestie prawne związane z użyciem słomek. Policjant nie obawiał się ataku z tej strony. Przypuszczał, że będą się z nim spierał o tę słomkę, dowodził, że Jean używała jej tylko do picia... ple, ple, ple.

Usiadłem bez słowa. Moje pierwsze pytanie było zarazem ostatnim.

Widziałem, że Granger przygląda mi się podejrzliwie, jakby być może właśnie został obrobiony, ale nie był tego pewien. Norm potwierdził, że nie ma więcej pytań do świadka. Detektyw Granger wrócił do stolika oskarżenia, a ja poprosiłem prokuratora, by podał mi trzy dowody rzeczowe.

– Wysoki Sądzie, pierwszym dowodem rzeczowym w tej sprawie jest torba. Ta torba. – Podniosłem zamkniętą przezroczysty worek foliowy, w którym znajdowała się szara papierowa torba z logo McDonalda. Pochyliłem się i sięgnąłem po swoją z tej samej sieci. Podniosłem obie, by można je było porównać. – Te torby są dokładnie takiej samej wielkości.

Moja ma pięćdziesiąt centymetrów głębokości. Dostałem w niej dziś rano śniadanie.

Odłożyłem obie i sięgnąłem po następny dowód rzeczowy.

– To zawartość torby mojej klientki. Zabrano ją w noc aresztowania. Dowód rzeczowy numer dwa. – We wnętrzu szczelnie zamkniętego worka znajdowało się pięć małych zawiniątek z marihuaną. W sumie nie wypełniłyby nawet miseczki na płatki śniadaniowe. – Dowód rzeczowy numer trzy to standardowa słomka do picia z McDonalda. Ma dwadzieścia centymetrów długości – kontynuowałem, podnosząc słomkę. – Tę, identyczną, dostałem dziś rano. – Podniosłem swoją, po czym odłożyłem ją na stół.

Następnie włożyłem marihuanę do swojej torby z McDonalda i ponownie pokazałem ją sędziemu. Potem wziąłem słomkę, ustawiłem ją pionowo i wrzuciłem do torby jedną ręką, podczas gdy drugą trzymałem papierowe uchwyty.

Słomka zniknęła z widoku.

Podąłem całość sędziemu. Spojrzał na torbę, wyjął słomkę ze środka i wrzucił ją z powrotem. Powtórzył tę czynność kilka razy, nawet postawił słomkę prosto na woreczkach z marihuaną ułożonych w środku. Górny kraniec rurki tak czy inaczej znajdował się dobre dwanaście centymetrów pod brzegiem torby. Wiedziałem o tym, bo sam eksperymentowałem wcześniej w ten sposób.

– Wysoki Sądzie, oczywiście opieramy się na zapisie stenotypistki, ale o ile dobrze pamiętam, detektyw Granger powiedział w odniesieniu do słomki: „Tak, trzymała torbę za uchwyty, widziałem to wyraźnie”. Obrona przyznaje, że słomka mogłaby być widoczna, gdyby torbę trzymano w inny sposób i jej brzegi były wywinięte. Jednak detektyw Granger potwierdził w swoim zeznaniu, że moja klientka trzymała torbę za uchwyty. Nie mógł więc widzieć słomki.

Sędzia Parks podniósł rękę. Usłyszał ode mnie już wystarczająco dużo. Odwrócił się do Norma.

– Panie Folkes, obejrzałem dokładnie tę torbę, słomkę i przedmioty znalezione na dnie pojemnika. Nie wydaje mi się, by detektyw Granger mógł zobaczyć słomkę wystającą z tej torby. Więc w istocie nie miał powodów do przeprowadzenia przeszukania, wszystkie dowody zgromadzone w jego wyniku są niedopuszczalne. Łącznie ze słomką. Martwi mnie, ujmując to delikatnie, że ostatnio niektórzy funkcjonariusze chętnie uznają słomki do picia i inne nieszkodliwe przedmioty za akcesoria narkotykowe. Tak czy inaczej, nie ma pan żadnych dowodów usprawiedliwiających to aresztowanie, oddalam więc oskarżenie. Jestem pewien, że miał mi pan wiele do powiedzenia, panie Folkes, ale teraz nie ma to już sensu. Niestety, spóźnił się pan z tym.

Jean zarzuciła mi ręce na szyję, omal mnie przy tym nie dusząc. Poklepałem ją delikatnie po ramieniu i wtedy mnie puściła. Całkiem możliwe, że wcale nie będzie mnie już chciała ścisnąć, jak zobaczy rachunek. Sędzia i jego pracownicy wstali i wyszli.

Granger wyparował wściekły z sali, strzelając do mnie po drodze z palca wskazującego. Nie przejmowałem się tym. Przywykłem.

– Kiedy zamierzasz złożyć apelację? – zwróciłem się do Norma.

– Nie w tym życiu – odparł. – Granger zwykle nie zgarnia takich płotek jak twoja klientka. Za tym aresztem kryje się pewnie coś innego, ale my dwaj pewnie i tak nigdy się tego nie dowiemy.

Spakował swoje rzeczy i wyszedł za moją klientką z sali rozpraw. Zostaliśmy tylko we dwóch, Rudy Carp i ja. Bił mi brawo ze szczerym uśmiechem na twarzy.

W końcu wstał i powiedział:

– Gratuluję, to było... imponujące. Mógłby pan poświęcić mi pięć minut?

– Na co?

- Chciałbym spytać, czy nie miałby pan ochoty współpracować ze mną podczas największego procesu o zabójstwo, jaki widziano w tym mieście.